

Grzegorz Turnau to jeden z najwybitniejszych polskich artystów.

To wspaniały wokalista, autor, kompozytor, aranżer i instrumentalista. Laureat wielu nagród i wyróżnień. Do tej pory nagrał paręnaście albumów. Jest artystą bardzo cenionym a przy tym niezwykle oryginalnym.

Przez siedem lat był uczniem Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej im. Ignacego Paderewskiego w Krakowie. Pomimo dużej aktywności związanej z koncertowaniem i tworzeniem nowej muzyki, zgodził się udzielić krótkiego wywiadu.

- Dzień dobry Panie Grzegorzu. Bardzo dziękuję, że zgodził się Pan ze mną porozmawiać. Szkoła Muzyczna im. Paderewskiego obchodzi w tym roku siedemdziesiątą rocznicę istnienia. Należy Pan do grona byłych uczniów tej szkoły. Jestem ciekawa, jak wspomina Pan tamten okres?

- Jakie stroje obowiązywały w szkole? Czy trzeba było mieć galowe mundurki?

Chodziłem do Państwowej Podstawowej Szkoły Muzycznej (tak się wówczas nazywała) w latach 1973—1980. Chłopcy na pewno musieli nosić krótkie granatowe koszule, tzw. chałaty z dopinanym białym kołnierzykiem i obuwiu zamienne, tzw. juniorki. Spodnie dowolne, ale raczej ciemne. Dziewczęta miały chyba dłuższe chałaty, bardziej przypominające fartuszki, i granatowe spódniczki. Inny był strój na lekcjach rytmiki: tunika, rajtuzy i baletki. Jak łatwo się domyślić, nie była to moja ulubiona garderoba. Podczas egzaminów i szkolnych uroczystości chłopców obowiązywały marynarki, czarne lub granatowe, białe koszule i aksamitki zamiast krawatów. Do tego oczywiście czarne buty. Obowiązkowa była też tarcza szkolna, przyszyta do chałatów i osobno do tzw. okryć zwierzchnich, czyli kurtek lub zimowych palt.

- Jak liczna była Pana klasa?

Nie pamiętam dokładnie, ale było to dwadzieścia kilka osób.

- Jak wspomina Pan lekcje fortepianu?

Tak się złożyło, że jedną z nauczycielek fortepianu, a później wieloletnią wicedyrektorką Szkoły była siostra mojej Mamy, Krystyna Kaczkowska-Adamska. Byłem więc z jednej strony nieco uprzywilejowany, bo czasem Ciocia przegrywała ze mną materiał, wpadając do nas w odwiedziny, przez co nie musiałem sam wszystkiego ćwiczyć. A ćwiczyć nie cierpiałem. Z drugiej strony była jako pedagog bardzo wymagająca i obiektywna w ocenie, by nikt nie mógł zarzucić jej nepotyzmu. Zwłaszcza podczas egzaminów.

— Czy odczuwał Pan tremę podczas egzaminów szkolnych?

Oczywiście, jeszcze jaką! To zielone sukno, te poważne profesorskie miny, ta cisza... Umiałem się jednak maskować i według relacji Cioci nigdy nie sprawiałem wrażenia osoby sparaliżowanej strachem. To mi trochę zostało do dziś.

— Który z przedmiotów cieszył Pana najmniej?

Nigdy nie przepadałem za chemią i fizyką, może dlatego, że w szkole nie było pracowni z prawdziwego zdarzenia, a zajęcia odbywały się w tzw. „przejściówce” (dziś to chyba jest aula?) i trudno było coś zrozumieć i zapamiętać, siedząc np. w kącie tylnej sali. Tych przedmiotów uczyła legendarna p. Zięba, o której mieliśmy prawo sądzić, że też za chemią i fizyką nie przepadała. Dokazywaliśmy więc na całego. Wszystko jej się myliło, eksperymenty nie wychodziły, a jak już była pogubiona i zdenerwowana, to kierowała złość na nas i krzyczała np. — „Turnau! Wstań! Jak się nazywasz!

Czemu stoisz”?! Albo wpisywała do dziennika: „Klasa chodzi po klasie i nie zwraca uwagi na moje uwagi”. Ale wszyscy ją bardzo lubiliśmy.

— Jakiej muzyki słuchał Pan w czasie kiedy był Pan uczniem szkoły podstawowej?

Słuchałem radia, zwłaszcza Programu Trzeciego. Bardzo lubiłem piosenki satyryczne z audycji „60 minut na godzinę”. Od około 10 roku życia byłem też namiętnym kinomanem. Dorysowywałem sobie wąsy świeczką, żeby wpuszczano mnie na filmy dozwolone od 15 lat. Fascynowała mnie muzyka filmowa, ta z komedii (np. „Różowej Pantery” czy „Gangu Olsena”) i westernów („W samo południe” czy „Biały kanion”). Oczywiście lubiłem też (nieliczne wtedy, więc oglądane przez wszystkich) telewizyjne seriale. Tematy z „Polskich dróg” czy „Lalki” umiałem grać ze słuchu, więc byłem bardzo popularny na dużych przerwach. Niestety, w szkole nie wolno było grać poza lekcjami, a już zwłaszcza niczego spoza programu. Łamiący ten zakaz byli karani obowiązkiem wpłaty 5 zł na PCK. Na szczęście koleżanki i koledzy solidarnie składali się na mandaty.

W domu, o ile pamiętam, jazzu i muzyki symfonicznej słuchał głównie mój Tato, zabawnie przy tym dyrygując z zamkniętymi oczami. Pojawiali się też na adapterze Wojciech Młynarski, Kabaret Starszych Panów, a także ukochany baryton Ojca — Andrzej Hiolski, więc i ja tą twórczością nasiąkałem. Muzyki pop czy rocka zacząłem słuchać już po opuszczeniu szkoły. Ostatnią (ósmą) klasę kończyłem w Anglii.

— Czy uczestniczył Pan w konkursach muzycznych lub przedmiotowych w szkole lub poza nią?

Nie, miałem inne pasje, jak choćby tę filmową, a także plastyczną — dużo rysowałem i uwielbiałem komiksy. A od kiedy zacząłem z kolegami występować w teatrze (najpierw im. Słowackiego, później Starym), jako

członek chóru chłopięcego, zafascynowała mnie scena dramatyczna i sprawy szkolne zeszły na dalszy plan.

— Czy którakolwiek ze szkolnych przyjaciół przetrwała do dziś?

Pamiętam wiele koleżanek i kolegów bardzo wyraźnie, niektórych czasem spotykam. Z racji mojej publicznej działalności bywam przez nich rozpoznawany, a sam dopiero po chwili się orientuję, kto mnie pozdrawia — minęło już jednak ponad 40 lat... Jest z pewnością jedna osoba z mojej klasy, którą mam okazję często widzieć i podziwiać — znakomita aktorka Starego Teatru i pedagog Akademii Teatralnej, Anna Radwan.

— Czy jako pianista lubił Pan lekcje WF?

Jako pianista zdecydowanie wolałem zbiórki i obozy harcerskie, bo wtedy nie musiałem ani skakać przez skrzynię, ani grać na fortepianie. Od V do VII klasy byłem bardzo szczęśliwym i aktywnym harcerzem szczepu „Słowiki”. A WF odbywał się w zupełnie nienadającej się do tego sali pod „Florianką”. Znajdował się tam ogromny słup, dla bezpieczeństwa osłonięty tapicerowaną gąbką, a my biegaliśmy dookoła, pokonując przeszkody finezyjnie ustawione przez pomyslową p. Różycką. Były to biegi na czas, nie odnosiłem większych sukcesów i dosyć mnie te zajęcia nudziły.

— Jest Pan znanym i bardzo utytułowanym artystą, a przy okazji wirtuozem fortepianu. Chciałam zapytać na ile pobyt w naszej szkole pomógł Panu w karierze?

Szkoła dała mi rzeczy elementarne: umiejętność czytania i zapisywania nut, gry na fortepianie, znajomość zasad, harmonii, rytmiki itd. Moje umiejętności rozwijałem potem według własnych potrzeb i pomysłów, nigdy nie pobierając już lekcji muzyki na poziomie średnim czy wyższym. Trochę więc śmieszny

mnie słowo „wirtuoz” — nie mam nawet, jak wspomniałem, dyplomu naszej podstawówki. Myślę jednak, że gdybym nie został przez rodziców zapisany do PPSM i zgodnie z rejonizacją skończył zwykłą szkołę podstawową przy ul. Grochowskiej (która zresztą miała wyraźnie sportowy profil), moje losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ale wybitnym piłkarzem raczej bym nie był, bo zawsze się bałem, że piłka uderzy mnie w twarz.

— Na koniec zapytam, jakich rad udzieliliby Pan moim rówieśnikom którzy podobnie jak ja kochają muzykę i wiążą z nią plany na przyszłość?

Starajcie się ufać swojej intuicji i jednocześnie bądźcie otwarci na świat i innych ludzi. Próbujcie otaczać się lepszymi od siebie, uczcie się od nich, nie bójcie się swoich błędów. Pilnujcie radości, jaka płynie z muzykowania, bo łatwo ją zgubić w rutynie zawodowej działalności. Nigdy nie bądźcie zazdrośni, cieszcie się sukcesami przyjaciół. Starajcie się jak najwięcej pracować w zespołach, mniejszych i większych. To najlepsze szkoły. A nie każdy rodzi się solistą.

-Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Marysia Królik. Klasa VIa